Ner 36. Kraków, 9go Września. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

WOLA.

Pokąd człowiek nie skieruje swojej woli do prawd ogólnych, które dawnym i najwłaściwszym sposobem zowiemy: *prawdami Bożemi*, potąd nic niechaj nie mówi o swojej własnej moralności, a nawet co do cudzej, niechaj małomownym będzie.

Idąc za najściślejszą loiką ojczystego języka, mówimy o *woli*, której wprost przeciwną jest *niewola;* o wolnej woli zaś czytamy jedynie w nierozmyślnych tłumaczeniach z obcych języków.

Wola zawsze jest wolną, czyli wolą, bo i czemżeby miała być?

Pytam kogo: Czego chcesz, a co wolisz? On odpowiada: chcę wypoczynku, ale wolę zatrudnienie. Znowu pytam kogo: Czego chcesz? On odpowiada: Chcę rozkoszy, ale wolę trud i hart.

Nie jasnaż, że wola jest poniekąd praktycznym rozsądkiem człowieka: boć temu, który powiada: chcę, i zrobię czego chcę; chcę mi się—i dosyć na tem; przecież żadnego nie przyznamy zbyt rozsądku i twierdzić nie będziemy, że jego wola jest czynną, widząc jasno, że nie wybiera między złem a dobrem, że zatem nie woli dobrego.

Wola waży się zawsze na stronę ducha; zaś po stronie ciała jest chuć, która nie jest dodatnością, lecz ujemnością; nie jest dzielnością, lecz słabością (passyą).

Jeżeli szczerze po polsku o wolnej woli mówić nie można: to o dobrej woli mawia się nieraz, równie jak i o złej. Opiera się zaś dobra wola na zdrowych zasadach i na zacnem sercu tak, jak zła na przeciwnych.

Gdy wychowanie powinno obdarzać człowieka i zdrowemi zasadami, i zacnem sercem: wynika wprost, że dobra wola także jest skutkiem dobrego wychowania, o które rodzicom, rodom, narodom i rządom narodowym przedewszystkiem chodzić powinno; mówię przedewszystkiem powinno im chodzić o to, bo od niego zależy wszelki ludzki postęp, wszelka ludzka pomyślność.

O KOBIETACH.

(Rozprawa przez Kobietę).

(Ciąg dalszy).

IV *).

O wpływie kobiet oświeceniem na ogół.

Kobieta, będąc połową rodu ludzkiego, zajmuje w nim stanowisko: córki, siostry, żony i matki, to jest, oddziaływa na stanowisko mężczyzny: syna, brata, męża, ojca. Gdy na swojem miejscu jest, czem być powinna, wpływ jej będzie oczywistym. Rozum bez sprzeczki wszystko do siebie pociąga, zbliża—i rozumowi pragnie się wszystko podobać, cokolwiek jest rozumowej natury. Rzecz za tem jasna, że rozumna kobieta (mając dość obszerne państwo, nawet tylko w domu własnym, we własnej rodzinie, ba nie mniejsze od mężczyzny) swemi natchnieniami wpływa na umysły domowników, przyjaciół, a nawet na odleglejsze osoby. Ona (czując co jest dobre, rozumne, piękne i sprawiedliwe, kochając się w tem wszystkiem) obstaje w najmniej znacznej okoliczności za prawdą swego przekonania i niedspuszcza, aby kto błędem, uporem, złością lub niewiadomością naruszał w czem porządku moralnego, którego strzedz poczytuje sobie niewiasta za obowiązek, jakgdyby na podstawie ślubu na wieczność uczynionego *). Kobieta, która poznawszy szlachetnego młodzieńca, uczonego męża, a nieutwierdza obu w świętych przedsięwzięciach i dążnościach, nie kieruje nimi ku dobru ogólnemu narodu: taka kobieta jest nikczemną, obywatelką zwać jej nie należy się i nie wolno. W teraźniejszych czasach, w których, przynajmniej na pozór, publicznie i prywatnie więcej zajmują się oświecaniem ogółu, niż kiedykolwiek przedtem, a przecież ludowem oświeceniem jak najmniej się zajmują: nie można też sumiennie twierdzić, aby która kobieta, bądź dziedziczka, dzierżawczyni, lub oficyalistka, najmniejszą szkółkom ludowym, sierocym instytutom przyniosła pomoc.—Gdzież taka, co przynajmniej słowem zachęca, aby młódź wiejska korzystała z pracy biednego nauczyciela? Tutaj, w małym na pozór zawodzie, otwiera się piękne pole dla kobiet: tutaj mogą pokazać, że umieją cenić tradycye dawne, że wedle nich postępować umieją. Tutaj ich miłość światła zajaśnieć może, jak jarzące się światło. Próżno kobieta wymawiałaby się obowiązkami żony, matki. Znane przysłowie potępia ją: Niema nic trudnego dla chcących.

Z żalem wyznać mi przychodzi, iż żadna dotąd kobieta nie wystąpiła po obywatelsku, podobnie obywatelowi mężczyznie.— Owszem istota ta,— myśląca jedynie o swoich zwierzchnich powabach, gnuśniejąc w nich całe życie, drwinkuje często zbyt wymownie z najświętszych celów swego brata, kochanka, lub małżonka. — Wprawdzie powiększej części kobiety skłonne są do litości i ofiar, lecz pytam się, czyli te odpowiadają dobru powszechnemu? Potrzeba tyle myśleć, tyle działać, aby naród sam w sobie stał się możnym, a nie żebrakiem możnych, i to będzie ofiarą nad ofiarami! wprzód jednak stać się nim nie może, dopóki ciemnoty się

*) Cyfry poprzednie, po 3ciej, należy wykreślić przed artykułem. R.

*) Widoczna, że szan. Autorka skłania się tutaj do przekonania, iż niewiasta bywa silna intuicyą. R.

nie pozbędzie.—Ale... nie jedna strojna dama—krzywiąc się lub uśmiechając szyderczo—uczyni mi zarzut: Czyż tylko samo oświecenie daje chleb? Gdy wszyscy będą uczeni, któż będzie potrzebował wtenczas nauki! A chłopu na co się przyda umiejętność?—Rolnictwo, przemysł i handel, oto źródła narodowych bogactw. Lecz czyż rolnictwo, przemysł i handel dadzą się korzystnie praktykować bez nauki o nich? Bliski przykład zaraz przedstawić mogę z naszych sąsiadów krakowskich, włościan na Czarnej-wsi, Łobzowie i Krowodrzy. Wiadomo, iż grunta w tych wsiach z swojej natury nie są lepsze od innych, a czem się to dzieje, że najpiękniejsze jarzyny okrywają ich zagony? Zagony te położone są na pierwotnych torfowych mokrzadłach, a przecież świadoma swoich celów praca zamieniła je w skarby, z których znaczne płyną dochody. Powie kto, iż ci ogrodnicy krakowscy nie z oświecenia przez książek przyśli do tej nauki, powie, że od pokolenia do pokolenia przechowują między sobą sztukę ogrodnictwa tradycyjnie i doświadczeniem. Odpowiadam najprzód, że lud ten nie jest bynajmniej ciemny, wszyscy prawie umieją czytać i pisać, a... jako trudniący się furmańświem, ma sposobność widzieć i słyszeć więcej, od przebywających na miejscu. — Powtóre, wiadomo z historyi, że król Kazimierz Wielki uczonych z za granicy sprowadził ogrodników, dla uczenia tego ludu, (?) a niektórych osadzał na wieczne czasy, aby wyprowadzali i hodowali rośliny, których kraj nieposiadał *). Jasna, że tych jak wszystkich rzeczy źródłem jest nauka, oświecenie, których dlaczegóżby wszystkim życzyć nie należało, gdy oczywiście są źródłami nie jednego dobra.—Czyż to roskosz, posiadać samej dostatki, tonąć częstokroć w zbytkach, a patrzyć na bliźnich glinianem okiem nieczułości, patrzyć jak nędza ostateczna niszczy ich zdrowie i życie, upadla ich, aż do występków i zbrodni? W takiem położeniu rzeczy żaden cnotliwy człowiek niepowinien życzyć sobie być bogatym, bo choćby najgruntowniej udowodniał, że własną pracą przyszedł do lepszego od innych bytu, przecież ciężyć na jego sumieniu będzie samolubstwo, jeżeli używając swych bogactw, drugich oświecać zaniedba.

Omijając nateraz obywatelki miast, (którym równie dużo zarzucić można) - zwracam uwagę do obywatelek ziemianek, jako dziedziczek, dzierżawczyń, żon rządców i t. p. Między paniami temi bywają niestety wcale nie poważne istoty; przesadzające się w strojach, niemi zajęte od rana do nocy; wyglądające sroczki na płocie, zwiastunki gości. Takie wierzę, bardzo wierzę, niemają chwili czasu zastanowienia się nad otaczającym je porządkiem społecznym, wszakże nie mają jej do zastanowienia się nad sobą samemi. A przecież w ich położeniu można nie mało, ba wiele i bardzo wiele dobrego tworzyć, byleby nie być lekką, byleby się czuć kobietą-człowiekiem, jakiej niewolno nie być obywatelką.

Nasze damy dowodzą najlepiej czem są, dowodzą najdobitniej, że są ujemną stroną społeczeństwa, gdy rozpraszają pieniądze, z krajowych wyciągnięte produktów, na gałgany zagraniczne: kwiaty, pióra, wstążki, gazy, blondyny, szale itp. Strojąc siebie i swoje domy niestósownie, lepiej na jaw swoją próżność wyprowadzają, niżby to zawołany pisarz zdołał uczynić kreśląc ich charakter. Z tego małego obrazku, każdy łatwo wnieść może, czy kobieta choć pośrednio wpływa na dobro powszechne, lub czyli się tylko względem niego zachowuje jak truteń? Dowód jak słońce jasny, że mając się obecnie jak zero do czynnej ludzkości, najniesprawiedliwszym jeszcze sposobem wysyssa jej prace, niszczy zbytkami ogół, niczem mu się nie wywdzięczając. Uniewinniają się często dziedziczki, że są matkami swoich poddanych, dając zapomogi uboższym, lub podczas nieurodzaju pożyczki pieniężne albo produktowe; opatrując ich w chorobie doktorem i apteką, czuwając nad ich obyczajami (?!). Mylą się bardzo te panie, oszukują własne sumienie, jeśli za zasługę liczą sobie powinność i to tak niedokładnie dopełnioną, że ledwo za dziadowską jałmużnę obstoi. Mylą się wielce litość, wpływającą z interesu własnego, poczytując nawet tylko za sprawiedliwość ścisłą. Obeszłoby się bez wątpienia bez wszelkich dobrodziejstw, gdyby ludowi nie skąpiono dobrodziejstwa jednego a niezbędnego: dostatecznej oświaty, bez której nie ma ani prawdziwej moralności, ani rzetelnej i zacnej wolności, ani dostatków.

Dowodzę jasno, iż żadna bogata kobieta nie jest nawet obywatelką, nie jest nawet chrześcianką, która nie harmoniuje z społeczeństwem miłością bliźniego, sprawiedliwością, poświęceniem się. Niedaj Boże! aby postęp dzisiejszy, nie mały w słowach, spełznąć miał bez czynów, więc na niczem. Niechaj odtąd kobieta, już nie przywiązana do swej osobistości, owszem wyzwolona z egoizmu, pokaże jak godną jest swego stanowiska, jak wszystkie jej dotychczasowe niedostatki i wady na karb minionych wieków i czasów przesądnych policzyć należy.

(C. d. n.)

*) Niesie tradycya, której zapewne krytyka historyczna nic nie zarzuci, że mieszkańców około Krakowa Bona ogrodnictwa wyuczyła. R.

PIEŚNI SERBSKIE.

Przekład

Stanisławy K..........

(Zob. Nr 24 i 27).

Słowa Dziewicy.

Piękne swe lica dziewczyna myła,
I myjąc z cicha tak przemówiła:
Twarzyczko moja, gdybym wiedziała,
Że ciebie starzec całować będzie,
Wszystkie piołuny bym wyzbierała
W zielonym lesie, po górach, wszędzie,
Z nich gorzkiej wodybym nawarzyła;
Zrana, i wieczór ku zachodowi,
Twarzyczko moja! w niej bym cię myła,
Aby był gorzki całus starcowi.
Ale przeciwnie, gdybym wiedziała,
Że tu młodzieniec piękny przybędzie,
Wszystkiebym wonne róże zerwała,
Co w mem ogródku rosną na grzędzie;
Różannej wody bym nawarzyła,
Niąbym się myła każdego rana,
By woń róż... serce jego rzeźwiła,
By całus wonny był dla młodziana;
Z nimby mi było na bystrej górze
Milej spoczywać między skałami,

Niżli ze starcem w wspaniałym dworze,
Na miękkich puchach, między kwiatami.

Kochająca.

Wczoraj, o wieczornym chłodzie,
Jadłem i piłem w gospodzie,
Tam stała piękna dziewica,
Rumieniec krasił jej lica;
A tulipany perłowe
Wieńczyły piękną jej głowę.
Ona mi konia wyprowadziła,
I tak do niego cicho mówiła:
O mój gniadoszu z grzywą złoconą!
Mów, czy już pan twój ma narzeczoną?
Na to jej rumak odrzecze z rżeniem:
Nigdzie nie związał się przyrzeczeniem
Mój pan kochany, lecz tej jesieni
Z tobą się piękne dziewczę! ożeni.
A więc radośnie dziewczę mówiło:
Gniadoszu, gdyby to prawdą było,
Jabym me wszystkie sprzączki stopiła
Na srebrne dla cię podkowy,
Tobie na uzdębym poświęciła
Mój złoty naszyjnik nowy!

Panna Natalia.

(Dokończenie).

Gdy p. Kajetan wszystkich zaprezentował p. Lucyanowi K. (nie księdzu), P. Lucyan poprowadził całe towarzystwo na miejsce, na którem dawniej była zamkowa kaplica, a na jej odrzwiach kamiennych rzeźbiony łaciński napis, świadczący o starożytności tejże. Pod przewodnictwem przyszłego kapłana, przykląkł gdzie kto mógł; każdy odmówił Ojcze nasz; po chwili zaśpiewano chorał, który wszyscy umieli nie wyjmując Jakóba Pinkes; wszyscy się też zbudowali. Po wszystkiem p. Lucyan obrócił się zbladłą twarzą i... zrobiwszy krzyż w powietrzu... w te przemówił słowa:

Zycie czy śmierć? Stąpamy po mogiłach, po ruinach przeszłości, szukając jeniusza, któryby nam powiedział o życiu i wskazał palcem przyszłość naszę? W ruinach tych bez wątpienia przemieszkiwa duch przodków naszych z smutnem obliczem, z zwieszoną na piersi głową, z dłońmi zaciśniętemi, które niegdyś dźwigały ciężkie kordy i niemi potężne raziły zastępy. Strzeże duchem dzisiaj tych świętych kamieni rosypanych pod naszemi stopami, dopóki ostatni z nich nie wrośnie w łono ziemi, a ostatniego wstydu boleści... zielona nie skryje murawa.

Lecz i z pod murawy zielonej, a nawet zżółkłej, jeszcze słowo tradycyi brzmieć będzie dla młodego pokolenia o wielkich mężach, których dzielność podziwiamy, przejęci dreszczem narodowej dumy.

A przyszłość nasza, której szukamy w modlitwie, w bohaterstwie, poświęceniu? Spojrzyjcie przez te okna bez szyb, wyglądają jak jamki ócz w trupiej czaszce... zamczysku; spojrzyjcie na dalsze pasmo Karpat osłonione niebieską mgłą, i w niej skryte, jak piękność skromnej dziewicy, schowane w najgłębszej tajemnicy. Jak Karpaty toną w cudach, tak przyszłość nasza w cudach tonie, i z nich się odsłoni, ba już dzisiaj z nich się odsłania wiernemu oku. Pracujmy, a przyszłość nasza prześcignie wszelkie oczekiwania.

Kończąc te słowa, przycisnął mowca silnie głaz, o który się opierał, a w tejże chwili z rozpadliny oczerniałego muru wzleciał młody biały orzeł i wzniósł się wysoko po nad głowy słuchających. Wszystkich oczy długo patrzyły w górę na spaniały lot króla ptaków, póki, silnem skrzydłem porząc powietrze, nie wyglądał jak mała pszczółka i nie zniknął, szybując po nad prastarym jodłowym borem.

W tym samym dniu na przedstawienie p. Kajetana, uczynione hrabinie, wśród życzliwości serc wszystkich obecnych, zaręczono Zygmunta z p. Natalią, w czem leży wyjaśnienie owej improwizowanej wycieczki.

Błogosławieństwa temu przedślubnemu aktowi udzielił uroczyście p. Lucyan, czyli kleryk Lucyan, co pannę Natalię najczulej wzruszyło. Gdy dziękując mu z serca, zapytała go później, co go spowodowało do obrania stanu duchownego, a o którym nie wspomniał nigdy przedtem, odrzekł z powagą:

— Całe życie uszlachetniałem serce wiarą, a umysł zbogacałem nauką, nie w innym zamiarze; lecz, abym przecież mógł służyć bliźnim swoim za przewodnika. Po wypróbowanej własnej woli, postanowiłem działać co człowiek z pomocą boską działać dla drugich może; pragnę iść za Zbawicielem. Rozumiesz mnie teraz droga panno Natalio, rozumiesz, że powołał mnie Bóg, że jestem mu posłusznym.

— Rozumiem — odrzekła panienka ze łzami w oczach, pozwól mi teraz panie ucałować czcigodną twą rękę, bo już cię sam Bóg poświęcił, gdy ci dozwala być przewodnikiem bliźnich, nauczycielem nieumiejętnych.

W tej chwili towarzystwo opuszczało zamek, udając się na piękną równinę dla posiłku i wypocznienia, zatem zbliżył się do rozmawiających Zygmunt i poprosił ich z sobą.

P. Lucyan kilkakrotnie kłaniał kapeluszem oczerniałym murom, mówiąc wielkim głosem:

— Bądźcie błogosławione gruzy, popioły rycerskich ojców naszych, i ty krwi, która nieraz płynęłaś tutaj, a... wsiąknięta w tę tu ziemię, świadczysz o miłości swobód, dla której cię przelewano. Tu schylił się mowca i wyrwawszy garść trawy z czerwonemi łodyżkami, rzekł: ta trawa niechybnie ze krwi wyrosła, godna więc, aby ją schować na pamiątkę dzisiejszych odwiedzin zamku. To samo uczynili p. Natalia z Zygmuntem, postępując zwolna za towarzystwem, które już było na dole.

Po dostatniej uczcie, dziele p. Żytniówki, późnym już wieczorem, przy świetle księżyca, towarzystwo ruszyło z powrotem, uprosiwszy z sobą p. Lucyana, który im bytnością swoją w zamczysku bardzo miłą zrobił niespodziankę. Mężczyźni szli piechotą, okrążywszy gościa, z którego ust słowa, jak balsam ożywiający, lały się potokiem pełnym miłości, wiary i nadziei.

Na początku zimy, przy końcu listopada, a po weselu p. Natalii z Zygmuntem, hrabina z p. Florą i Zofią udały się do Lwowa, jak na to poprzednio zezwolił był p. Kajetan. Trzy te piękne panie niedługo czekały na znajomości... a nawet na prawdziwych konkurentów. Hrabinie oświadczył się wkrótce (choć już 40letniej ale jeszcze pięknej) pewien majętny obywatel, wdowiec, pragnący matki dla trzech swoich córek i jednego, naj-

młodszego syna; lecz... dowiedziawszy się od przyjaciela o chorobie jej podróżowania, uląkł się, lubo podobała mu się jej powierzchowność i wytworna uprzejmość, cofnął przeto słowo i obrócił kroki swe indziej. Panna Flora zawiązała stosunek z pewnym niemłodym i nie bogatym... ale dobrego tonu kawalerem, lecz zakrojony na lat kilka wzdychań, platonicznej miłości, bo obydwie strony milczą o związku małżeńskim. Co do p. Zofii, ta poznawszy Tadeusza, nie może na jego miejsce wybrać innego, pomimo, że kilku z przystojnej i dobrze wychowanej młodzieży zhołdowani jej pięknością oświadczyli się hrabinie o jej rękę. Jest przeto nadzieja, że ród i herby tą razą na bok pójdą, a Zofia, która wiele zyskała z towarzystwa i przykładu swej siostry Natalii, za pośrednictwem p. Kajetana połączy się z dobrokiewiczem i chętnie ulegnie jego zasadom, które.... może dla braku ukształcenia jej rozumu i serca, raziły ją swą demokratycznością, będąc po prostu i szczerze narodowemi zasadami.

P. Kajetan za naradzeniem się z księdzem Lucyanem, którego po wyświęceniu zaprosił na dni kilka do Przemysłówki, będąc bezdzietnym, zapisał połowę swego majątku na stypendya dla ubogiej uczącej się młodzieży, zostawiając drugą połowę do dalszego rozporządzenia.

Pani Natalia wyposaża szkołę, i jak pracowita pszczółka znosi do niej miód swych uczuć: pamiętą o niej ciągle, zgromadza ryciny, krajobrazy, wizerunki, książki, słowem jest duszą szkoły a ludzie błogosławią... jej miłość ku nim i odbierane dobrodziejstwa.

Brakuje tylko pani Natalii równie jak całej okolicy księdza Lucyana. Posłano do niego w tym celu adres podpisany przez dziedziców, włościan, nawet przez Jakóba Pinkesa, gdyż proboszcz z Niedbalówki został w bliskim miasteczku dziekanem. Kaplicę w zamczysku podjęli się wszyscy okoliczni obywatele zrestaurować o tyle, aby ksiądz Lucyan corocznie mógł odprawiać w niej nabożeństwo z wspomnieniem przeszłości, błagając Boga ojców naszych o pomyślną przyszłość.

Anna Libera.

KONIEC.

Jedna karta z mego dziennika.

Komuż nieznane owe śliczne, smętne dni jesieni polskiej, tak pełne niepojętej i niewypowiedzianej tęsknoty, co jakimś spokojnym, słodkim, rzewnym żalem przejmuje naszą duszę?... To niebo tak jasne i czyste, a przecież jakąś tajemniczą mgłą, nito powiewem westchnienia osute, patrzy na ziemię posępnie i mile zarazem, podobne do bladego czoła dziewicy, na którem po burzy nieszczęść, złudzeń i rozczarowań rozsiadła się jakaś boleśna i smętna, lecz cicha i błoga zaduma... To słońce przymglone i łagodne, wolno i spokojnie po błękicie żeglujące, świeci nad tobą jak oko kochanki, skąpane łzami po dawno zmarłym jedynym, jak myśl weselszej przeszłości, jak wspomnienie szczęścia..... A ziemia?... ziemia zda się tchnie jakąś tajemną, załośną wonią i napawając nią każdy atom powietrza, czyni je jednem rzewnem marzeniem, jednem głuchem westchnieniem niewymownej, nieskończonej tęsknicy. .

Dzisiejszy dzień był właśnie tak tęskno-uroczym... Za ciasno i za duszno było mi z memi myślami w izdebce. Wyszedłem na dwór, by się przejąć owemi cudnemi wrażeniami, których tak sowicie dostarcza jesienna przyroda. A było to na wsi, w jednej z najpiękniejszych okolic karpackiego pogórza. O kilkaset kroków od mego domku wił się lśniącem pasmem Dniestr, u jego brzegu drzemały stare wierzby, co rozstawiwszy się w półkole postykały z sobą swe wierzchołki, jakby stare kumy-wieśniaczki (kmotrki), szeptające sobie coś tajemniczo do ucha. Z Zaleskim w ręku usiadłem pod niemi. Choć tyle razy już czytane, dziwnie mi przecież jakoś przypadły do smaku te cudne, jak wietrzyk stepowy powiewne, jak Ukraina piękne pieśni polskiego Bojana. Ach Bohdanie znachorze, jakżeż umiesz zaczarować, roztęsknić, rozmarzyć... Ileż to godzin przez ciebie straciłem na jakiemś nieziemskiem, tęsknem marzeniu o stepie kozaczym, o Dnieprze, o kurhanach, mogiłach, Rusałkach i Zorynie!.... Złośliwy, niedobry pieśniarzu! ty niewiesz jak to trudno wyjść z tego zaczarowanego świata, który nam zakreślasz tęczowem kołem twych pieśni, jak to ckliwo i niemiło powrócić z twych wieszczych krain na zimną, nudną, rzeczywistą ziemię!...

Roztworzyłem książkę, właśnie na „Rusałki!" Czytałem z zachwytem, a uchwycony magnetyczną potęgą poezyi, ulatywałem na lotnych wierszach, jak na skrzydełkach aniołów, gdzieś daleko... daleko... I nie dziw, że wązki brzeg Dniestrzyku wydał mi się bujnym, nieprzejrzanym stepem, przepasanym olbrzymią wstęgą Dnieprowych fali, na których pomykały łabędziemi łódkami eteryczne Rusałki, że mi urosły przed oczyma mogiły i kurhany, zabrzmiały dźwięki smętnej lutni kozaczej i zabłysły oczy Zoryny!...

I jak tęsknem, tajemniczem
Promieniło czuciem oko,
Jak wzbijało się wysoko
Za nadziemskiem gdzieś obliczem!...

— Ślicznie!... ślicznie! Jakżeż to sentymentalnie...— odezwał się naraz za mną głosik damski, zawtórzony głośnym chórem wesołego: cha! cha! cha!...

Podniosłem się z murawy i zwróciłem się ku mówiącym. Byłem naprzeciw gronu, nie Rusałek, ale świeżych i urodziwych dziewic.

— Zeszedłyście mnie panie istotnie przy....... jakiejś kontemplacyi — powiedziałem kłaniając się — ale...

— Ale przynajmniej nie przy Karpińskim... — (odezwała się jedna z grona najezdniczek, świeża, wesoła i swobodna panna Zofia, prawdziwy typ naturalnej, niewymuszonej polskiej dziewicy, lecz najzaciętsza nieprzyjaciółka sentymentalności, bladych marzeń i romantycznych uniesień) — którego romansowe sielanki, tak słodziutkie i czulutkie, jak widzę... wcale by odpowiadały pańskiemu usposobieniu...

— Tym razem był to Zaleski, który mnie przeniósł w krainy zadumy — odpowiedziałem — ale gdyby i Karpiński, to niewiem, dlaczegoby...

— Dlaczegoby się nie unosić w światy tkliwych, czyli raczej ckliwych marzeń, i rozpływać się w czułostkach, jakby w odwarze z lukrecyi i senesu.... Szkoda, że jeszcze bardzo daleko do wieczora, że jeszcze *„psy się nie uspiły*, i *nikt nie klaszcze za borem"*, bobyś pan zapewne nastroił swe myśli na ton spiewki sielankowej:

Płynie potok doliną,
Nad potokiem jawory,
Tam ja, z moją Justyną,
Pędził słodkie wieczory...

I z tak rozśmieszającym naciskiem skarykaturowanej deklamacyi wygłosiła panna Zofia te wiersze, że jej to-

warzyszki parsknęły głośnym śmiechem, któremu i ja zawtórzyć musiałem.

— Biedny *poeto serca*!... zawołałem.

— Biedni jego nudni prozelici!... — zawołała panna Zofia.

— Ależ, panno Zofio!— odrzekłem tonem *ex cathedra*, czego pani chcesz od Karpińskiego, od tego Karpińskiego, który....

— Niechcę niczego od Karpińskiego — przerwała w lot panna Zofia — ale od tych, którzy... romansując, sielankując i marząc wiecznie, mienią się być sentymentalnymi, romantykami, poetami, i Bóg wie czem jeszcze, a są w istocie samej tylko śmietankowymi mazgajami. A i dosyć tego! Jedziemy do Spasa, będziesz pan nam towarzyszył?...

— *Dixisti et vicisti*, (rzekłaś i zwyciężyłaś) panno Zofio! — odrzekłem z rezygnacyą zwyciężonego — jestem zupełnie do usług...

Wcale pożądaną i miłą była mi zaproponowana przejażdżka do Spasa. Spas, jestto wioska o trzy mile od Sambora, o milę od Starego-miasta w uroczej i malowniczej bardzo okolicy położona, a przez swe liczne przyjemności zupełnie zasługująca być celem i dalszej wycieczki. Zresztą nawet maleńka, króciuchna przejażdżka, podjęta z otwartem na wszystko okiem i sercem, przysparza częstokroć nadspodziewanie wiele niezwyczajnych a powabnych wrażeń, wiele ciekawej treści dla umysłowego zajęcia: wszakże, kto kocha kraj swój całą duszą, kogo z nim wiąże promienna nić dziecięcego przywiązania, temu każdy kątek ojczystej ziemi lśni tysiącznym, niewypowiedzianym urokiem... Gdyby tylko więcej tego serdecznego ciepła, więcej tego rozmiłowania się w swojskości, a szwajcarskie alpy z pewnością ustąpićby musiały naszym sinym Beskidom i Tatrom; włoskie niebo naszym pięknym, czystym błękitom; Karlsbady, Badeny itd. naszym Truskawcom, Iwoniczom, Szczawnicom...

Lecz otóż wpadam w niepotrzebne zboczenia...

— Do rzeczy!... do rzeczy!.. — zawoła parlamentarnie piękna czytelniczka.

Otóż wracam co żywo do rzeczy, do towarzystwa, z którem miałem wziąć udział w wycieczce. Było dość liczne. Nie poświęcam miejsca szczegółowemu opisowi każdej osoby, zachowuję to sobie na później w miarę, jak ten lub ów, ta lub owa z grona, wystąpi dzielnie na scenie naszej wycieczkowej rozrywki.

Bryczki były w pogotowiu, a nasi chwilowi turyści i turystki umieścili się na nich niebawem. Do Spasa! do Spasa!

Śliczna droga wiedzie do Spasa! Po lewej stronie u dołu błyskają jasne i czyste powierzchnie Dniestru, ocienione tu i ówdzie gęstą i bujną łoziną, lub ujęte w białe, wązkie grobelki—i opasują swemi zwierciadlanemi falami szare sioła, umajone ciemną zielonością drzew, sadów. Po prawej stronie piętrzą się zielone przedgórza Karpat w jednym nieskończonym łańcuchu, przed tobą zamyka wysokie, ciemnoniebieskie szczyty widokrąg, jeżąc się lesistemi grzbietami do góry.

Jechaliśmy raźno, zajęci na poły piękną okolicą, na poły zatopieni w wesołym, żywym rozhoworze.

— *Dorf Teszow und Zawadka!* — zawołała jedna bryczka, wskazując na drogową tablicę i białe schludne domki.

— Wieś Teszów i gonitwy! — dodała bryczka druga.

— Co za gonitwy?...

— A ot przed nami!

— A won, won! — dorzucił woźnica wskazując biczem przed siebie — *jakie ichało, takie zdybało*... *).

I w rzeczy samej odsłonił się przed nami widok pociesznej gonitwy. Jakaś stara, odwieczna landara, ciągniona dwoma chłopskiemi konikami, z sędziwą statecznością posuwała się naprzód, a za nią pędził co tchu mały żydowskiego fasonu wózeczek jednokonny, z którego sterczały damskie kapelusze i powiewały weloniki. Lecz... jakkolwiek stara kareta bardzo leniwie się naprzód toczyła, to przecież pomykający się za nią wózek niezdołał jakoś dopędzić jej. Na wózku bowiem siedziało oprócz powożącego chłopka i jakiegoś mężczyzny, kilka dam, a chudy, nędzny koń, zapomniał zda się już raźniejszego chodu, i... mimo energicznych batogowych exercycyów woźnicy, bardzo jakoś nie sporo przebierał otrętwiałemi nogami... A przecież po ruchach jadących, po głosie woźnicy i wyzywająco z przodującej budy wyglądających twarzy można było wyrozumieć, że istotnie chodzi o wyścigi. Jeszcze wózek niemiał żadnej nadziei dogonić swej przedpotopowej przeciwniczki, gdyśmy się z nim właśnie zrównać już mieli.

— Panie Czyżykiewicz! panie Czyżykiewicz—odezwał się naraz dźwięczny i milutki głosik z wózka — wstydź się pan... to ich nie przepędzimy?...

Zagadniony, słuszny i sztywny młodzieniec z niebieskiemi okularami, wyrwał w odpowiedź lejce z rąk chłopaka, pochwycił za bicz i czynił najrozpaczliwsze usiłowania, by drewniane nogi swego rumaka do pospieszniejszego nakłonić ruchu. Szkapsko biedne tymczasem, zniecierpliwione i rozgniewane srodze, zamiast raźniej ruszyć naprzód, poczęło się kręcić od rowu do rowu, jak człeczek co za głęboko zaglądnął do kieliszka.

— A żeby cię piorun!... — zawołał w największej złości pan Czyżykiewicz, powstając z siedzenia i okładając suche żebra konia — hou! wioho! wie!...

Tego już było zanadto szkapie: jakby pod elektrycznym wpływem jakiejś weselszej i ognistszej reminiscencyi z swych młodych lat, skoczyła w bok i wraz z wózkiem do rowu...

— Hou! prrrr!... — zawołał pan Czyżykiewicz i runął w tejże chwili w rów i pod wózek.

— Jezu!... gwałtu!...— brzmiały przeraźliwie dwa głosy cieńkie i dwóch Sylfid zabrakło na wozie.

— Cha!... cha!... cha!... — zadzwonił tenże sam miły głosik, co skusił p. Czyżykiewicza do tak niefortunnej gonitwy, i zgrabnym, lekkim, safizycznym skokiem stanęła trzecia z pasażerek na ziemi.

Cudneż to było dziewczę!... ta trzecia dama z wózkowego grona!... Biała, świetlana, nito różowym lekkim pyłkiem owiana twarzyczka, oczy czarne, pełne najpowabniejszego wdzięku, gorejące ogniem wewnętrznego życia; usteczka świeże, ponętne i tem piękniejsze, im wdzięczniej zakrojone do uśmiechu, odkryły szereg białych, ślicznych ząbków... A do tego co za nóżka, co za rączka, co za kibić wiotka i eteryczna, jaki powab.

Ależ powoli!... Już uważam, że kto (a osobliwie kto z płci pięknej) weźmie do rąk ten ustęp z mego dziennika — zaśmieje się złośliwie i podejrzliwie.... Toż, chcąc niechcąc, trzeba się ochłodzić z zapału, chociaż tak czarownej istotce przynależałoby się najsłuszniej w świecie nawet, nietylko w dzienniku... i w sercu najpierwsze i najobszerniejsze miejsce...

— Hi... hi. . hi... — zaśmiał się chłopek, który powoził ze starej landary — dobrze tak Andruszkowi,

*) Jakie jechało, takie zdybało.

poco nas przeganiał!... I spojrzał tryumfująco po swych jasnokościstych bronowłokach.

— Stój! stój! — ozwały się głosy z powozu z pewną trwogą. I dwie panie wysiadły co żywo z niego, by się udać na miejsce niefortunnego wypadku.

Tymczasem i nasze bryczki postawały. W około przewróconego wózka i jego... tak niedelikatnie na ziemię złożonego ładunku.. uformowało się całe grono widzów, coraz więcej pomnażane ciekawemi wieśniaczkami.

Mimowoli zarysował się na wszystkich ustach śmiech. Osobliwie owa urocza panienka, co zgrabnym skokiem uratowała się od fatalnych skutków wyścigu, zanosiła się od wesołego śmiechu.

— Olimpio! — rzekła jedna z pań, które wysiadły z przedniego powozu — przestańże się śmiać i pomóż pannom Czyżykiewiczównom ..

— Ależ bo mamciu, żebyś wiedziała, jak to było komicznie!...

Podniesiono nareście przewrócony wózek, podczas, gdy pogrzebane pod nim osoby, poczęły się gramolić z niemiłego posłania. Najpierw stanął na nogach pan Czyżykiewicz.

— Ojoj gwałtu! — westchnął i odetchnął.

— Moje okulary! — dodał i począł obmacywać swe szkła niebieskie. Przy tej operacyi dostrzegł niemiłego szwanku na swym długim, zakulbaczonym nosie, i ciągnął dalej:

— I mój nos!... — i schwycił się za tę szacowną i wydatną część swojej fizyonomii. Lecz bieda nigdy nie przybędzie sama. Przy starannem rekognoskowaniu nosa uczuł ból w prawej ręce.

— I moja ręka!... — jęknął płaczliwie.

— Przeklęta *chabeta!*... — dodał, spoglądając na sapającą szkapę, która, zwróciwszy swój długi łeb ku komicznej grupie, złośliwie wyszczerzyła oczy, jakby rzec chciała:

— Chcieliście! macie!!

Nareście wstały i owe dwie Sylfidy wywrócone, jak już wiemy, siostry pana Czyżykiewicza. Nieszczęsnem zrządzeniem nieszczęśniejszego jeszcze wypadku ograniczała się okropna katastrofa na samych nosach. Obie panny Czyżykiewiczówne uchwyciły się za swe noski, które zapewne skutkiem tradycyonalno-familijnego podobieństwa liczyły się do niepospolitości w swoim rodzaju...

— Nos i suknia!... — zawołały obie razem najrozpaczliwszym tonem swego donośnego dyszkantowego głosu.

— Widzicie Pawluniu i Piotruniu! — odezwał się pan Czyżykiewicz, trzymając się za nos, który w skutek stłuczenia rósł szybko jak ciasto na drożdżach — ja wam mówił zaraz: Piotruniu! siadaj po lewym boku, a ty Pawluniu po prawym, a panna Olimpia we środku... byłaby równowaga...

— Jezu! gwałtu!... — odpowiedziała z furyą Piotrunia spoglądając ze złością na śmiejącą się pannę Olimpię — alboż my takie ciężkie?... Nie plótłbyś przynajmniej, a panna Olimpia nie śmiałaby się, kiedy sama wszystkiego przyczyną.

Nareście skończyły się wzajemne wymówki i skargi, i ucichły jęki, a całe towarzystwo, przeklinając z całego serca fatalne gonitwy, usadowiło się napowrót w swoich ekwipażach. Panny Piotrunia i Pawlunia poprzykładały chusteczki do nosa, ich braciszek okręcił go sobie jakimś naprędce dorwanym ręcznikiem. Oba wyścigowe wozy jechały tożsamo do Spasa, więc zapoznawszy się z nami za pośrednictwem opisanego tragikomicznego wypadku przyłączyły się do nas. Sporą tedy kalwakadą dotarliśmy do Spasa.

Trudno o tak piękny, tyloma widokami porywającego powabu, strojny zakątek, jakim jest wioska Spas, główne siedlisko chorych gości żętycznych. Gdy weń wjeżdżasz, zdaje ci się, że masz zawitać w jakieś zaczarowane, fantastyczne miejsce, żywcem z oryentalnej jakiej baśni wyjęte... Bity gościniec skręca się w bok i pnie się górą ku Węgrom, i tylko wąska, nierówna drużyna wiedzie cię gdzieś pomiędzy ogromne, ciemnemi, omglonemi lasami jeżące się góry, które, zda się, zamykają już wszelki dalszy przechód... Dopiero, gdy w pośród nie wjedziesz, owiany dziwnie jędrnem górskiem powietrzem, i orzeźwiony balsamicznym aromatem sosnowej i jałowcowej woni, ścieli się przed twem okiem śliczna, białemi domkami połyskująca wioska... ustroń tak świeża, miła i luba, że nietylko chore ciało, lecz i chora dusza, zda się, znajdzie w niej pokrzepienie..

To Spas... Położony w małej kotlinie, przepasał się Dniestrem, jakby srebrną szarfą i otoczył się zewsząd górami, które... szumiąc świerkowym i sosnowym swym porostem pochyliły się nad nim i dumają... dumają o wiekach, co u ich stóp przebiegły, o dniach lepszych minionych... Do tych gór, jakby do opiekuńczych strażników, przypierają małe i piękne domki, owiane jakimś błogim tchem spokoju i przezierają się w jasnych wodach Dniestru, co mknie przezroczystem pasmem po pod ich stopy... Podobne miejsca rozrzuciła snać Opatrzność po świecie, by zgotować zbolałej duszy exyl cichy i ustronny, w którymby mogła choć na chwilę zapomnieć o wiecznie świeżych bolach, o wiecznie krwią sączących się ranach... I niepodobna, by w takiem miejscu nawet nieczułe nie zamarzyło serce; by najburzliwszy i najgwałtowniejszy nawet umysł nie uciszył się i nie ukoił..

Towarzystwo nasze powysiadawszy z bryczek, przeszło się w około rozglądać, niewiedząc, w którą udać się stronę i co najpierw oglądnąć, gdzie tak wiele ujmującego powabu nęciło zewsząd. Nawet panny Czyżykiewiczówne zapomniały o fatalnej tuszowskiej scenie i jej skutkach i dzieliły powszechne zajęcie. Tylko pan Czyżykiewicz czynił płaczliwe spostrzeżenia nad coraz zacięciej wzrastającemi rozmiarami swego nosa, i wytężał całą bystrość swego umysłu, jakby to jednym ręcznikiem zastąpić temblak i kataplazm...

— Gdzież pójdziemy? — pytnno się nawzajem.

— Do „kamienia“ — zaproponowałem.

Spas bowiem słynny w całej okolicy z „kamienia.“ Pod tą nazwą rozumią się olbrzymie masy kamienne, dziwnem jakiemś igrzyskiem natury ugrupowane na pobliskiej górze w bardzo fantastyczną całość.

Przyjęto moję propozycyą. Wśród wesołej rozmowy, ożywionej od czasu do czasu jakąś pół urwaną nutą lub jakimś deklamacyjnym ułamkiem pięliśmy się po chaszczami obrosłej górze ku kamieniowi. Osobliwie piękna Samborzanka p. Olimpia, umiała wrodzonym sobie lubym talentem dodać tyle uroku i wdzięku całej konwersacyi, że mimowoli zastósowałem się do wierszu:

Moja szczebiotka, gdy w wesołej chwili
Pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać,
Tak mile grucha, szczebiocze i kwili,
Że, by żadnego słówka nie postradać,
Boję się przerwać, boję odpowiadać,
I chciałbym tylko słuchać — słuchać — słuchać...

Miałemże też za moje milczenie!... Panna Zofia, owa zawzięta antagonistka marzeń i sentymentalności, zbudziła mnie z mojej na pół biernej, na pół czynnej intuicyi:

— O czemże taka tkliwa zaduma?... — zawołała — z pochyloną głową?... Twarz do góry! bo z góry czerpię się natchnienie, na dole szuka się tylko błota i płaczów...

— Przeciwnie, znalazłem jakiś cudny jesienny kwiatek górski, wonią i kształtem istny dziki goździk! — odrzekłem urywając kwiatek i dekorując nim piękną Samborzankę.

— Goździk? — odparła p. Zofia — co za piękna sposobność do zanucenia owej przez pana tak ukochanej i wychwalanej piosnki: „Piękne goździki, śliczne tulipany...

— W rzeczy samej — odpowiedziałem żywo — jest to piosnka ludowa tak pełna uroczej prostoty i rzewnego uczucia, że każda polska dziewica nią tylko tęsknić powinna...

— Niewyłączając nawet i owej strofki — odpowiedziała z sarkastycznym uśmiechem p. Zofia:

Może biedę cierpi, może nędzę znosi,
A może gdzieś tam — żydom wodę nosi...

Całe nasze grono powitało tę trawestyę wybuchem szalonego śmiechu, a mnie pozostało jedynie zawołać z Hamletem:

— *The rest ist silence!*

Nareście stanęliśmy u kamienia. Dziwnie piękny i wzniosły widok odsłonił się przed nami.... Kamień spaski należy do tych niepojętych igrzysk natury, które zdołają na nas najsilniejsze sprawić wrażenie... Olbrzymie masy kamienne najromantyczniejszych kształtów piętrzą się do ogromnej wysokości i tworzą prawdziwie wspaniałą całość, która w podziw i zdumienie wprowadza... A każdy głaz uczepiony dziwną jakąś siłą na drugim, zdaje się drwić z praw rownowagi i grozi co chwila runąć na ziemię... Mimowolna zgroza przejmuje widza, gdy patrzy na te ogromne, w wielce fantastyczny a śmiały, rzec można, w cudowny jakiś sposób napiętrzone kamienne urwiska, które koniecznie obalić się powinny, obalić się muszą, a zlepione jakąś nieodgadnioną magnetyczną potęgą, nito czarodziejskim jakimś cementem w urągającej, bezczelnej rzekłbym trwają równowadze.

Całość grupy tej kamiennej podobna do jakiegoś fantastycznego zamczyska z wieżą i dwoma basztami, co wzmaga siłę wrażenia, i tem go głębszem, wieczystszem czyni... A do tego szumią pobliskie lasy, i lada lekkim poruszone wiatrem, zdają się stawać tłumaczem tego niemego skamieniałego zamku i opowiadają zdumionemu widzowi dziwnie smętnemi i wzniosłemi dźwiękami jego przeszłość długą, anorganiczną...

Całe nasze towarzystwo patrzało w milczeniu i z najżywszem zajęciem na ten wzniosły pomnik odwiecznych jakichś walk żywiołowych. Nawet p. Czyżykiewicz *alias* pan komornik, jak go zwano zazwyczaj, zapomniał o swoim nosie, który tak zaciekle z każdą chwilą w coraz obszerniejsze rósł rozmiary, jakby chciał co do możliwej swej dymmensyi iść w zawody z spaskim kamiennym kolosem, a panny Piotrunia i Pawlunia wołały raz po raz:

— Jezu! gwałtu!

— Prawda jak tu strasznie — odezwała się jedna z naszych towarzyszek o wcale nieposlednej korpulencyi, zamaszystych kształtach i zamaszystszych jeszcze ruchach, p. Emilia — kiedym tu pierwszy raz była, tak silnego doznałam wrażenia, jakby mi kto w pysk dał..

Na tak dobitne zformułowanie wrażenia p. Emilii przygryzłem wargi, by nie uledz pokusie do szczerego śmiechu — a piękna Samborzanka, p. Olimpia, strojąc swe usteczka w uśmiech lekko szydzący, zawołała:

— Nie może być!..

— Słowo pani daję! — zapewniała dalej p. Emilia, takem się tem przejęła, jakby mi kto pałką przez łeb zajechał...

Z wielką nieprzyjemnością, z rzeczywistą szkodą dla całości ustępu, lecz z zyskiem dla wierności tego pamiętnikowego szkicu, przyszło mi niepominąć tego zupełnie zresztą prawdziwego wyrażenia się panny Emilii. Niemogę również zbyć w mym dzienniku niepomyślnego wielce wrażenia, jakie ono na mnie zrobiło, milczeniem. Jeśli bowiem i w męzkiem wykształconem kółku nieuchodzą podobne rubaszne przyrównania, o ileż więcej niepowinny się one wymykać z ust niewieścich!... Jakież mniemanie nasuwa się o podobnej dziewicy, która za miarę swych umysłowych wrażeń bierze pięść i pałkę?... Nawet najotwartsza szczerota, najbezwzględniejsza poufność, najszczerzej pojęta swoboda, najwolniejsza niewymuszoność nie upoważnia do podobnych co najmniej gminnych, trywialnych i nieestetycznych wyrażeń, tak srodze ubliżających wykształconej dziewicy, która przecież na coś ważniejszego niż na tak plastyczną dosadność wysłowienia uważać powinna...

Lecz otóż wpadłem w powódź moralno-kaznodziejskich expektoracyi... Wracam znowu do notatek.

(Dok. nast.)

OBRAZY Z DZIEJOW SZWAJCARSKICH

(Podług Dumasa).

(Ciąg dalszy).

— Wielmożny panie — mówił dalej myśliwy — niechaj cesarz się opamięta; azaliż w tych swoich natarciach i uciskach dobrze wychodzi? niechajże wspomni na utratę sztandaru cesarskiego przy obleżeniu Berna, i gdy chciał opanować Zurich, chociaż wszystkie bramy tegoż stały mu już otworem, czy odważył się wejść do niego? a jednakże w rozprawie z temi dwoma miastami nie o całą wolność; lecz o granice tylko spierano się; wprawdzie pomścił cesarz podwójną tę klęskę znów na Glarysie, bo miasto to było słabe i do obrony nieprzygotowane; lecz my związkowi mamy się na baczności i zbrojni czekamy.

— A gdzieżeś to nędzny myśliwcze, bo cię z ubioru za co innego brać nie można, nauczył się historyi i prawa?

— Znam prawa nasze, ojcowie nasi przedewszystkiem uczą nas szanować i bronić ich, znam też i historyę, bo jestem laikiem, wychowanym przez zakonników od Najświętszej Panny z Puszczy, co mi także posłużyło do uzyskania służby poborcy w klasztorze Fraumunsteru w Zurychu. Myślistwo nie jest ani mojem powołaniem, ani sposobem do życia, mam je sobie za rozrywkę, zwyczajnie jak wolny człowiek.

— A jak się zowiesz?

— Po ś. chrzcie Wilhelm, po przodkach Tell.

— A mam cię — zawołał Gessler z radością, tyś to pomagał Baumgartenom?

— Przewiozłem na mojej łodzi młodzieńca i młodą niewiastę umykających przed pogonią, nie dopytywałem się ich o nazwisko i stan.

— Ba, ba! mówią o tobie, żeś najcelniejszym strzelcem z całej Helwecyi.

— I prawdę głoszą, on by o pięćdziesiąt kroków przeszył jabłko na głowie syna swego — wyrzekł ktoś z tłumu.

— Oby Bóg przebaczył słowo pokusy człowiekowi, czy szatanowi, który je wyszepnął — zawołał Wilhelm, myśl taka nie błysłaby, nie powstała w głowie ojca, nie przecisnęłaby się przez usta ojca.

— Czy masz dzieci? — zapytał Gessler.

— Bóg pobłogosławił chudobie mojej czworgiem dziatek: mam trzech synów, mam córkę.

— A któreż z nich kochasz najczulej?

— Wszystkie równo.

— Ale, ale, któreż kładziesz nad inne?

— Szczerze mówiąc, być może: bo powinno, że najmłodszego kocham najczulej—najsłabszy, najwięcej opieki mojej potrzebuje — ot sześcioletnie dziecię.

— A jak mu na imie?

— Walter.

Gessler zwrócił się do konnej straży, która go otaczała, zawołał na łucznika.

— Prędzej do Burgen, pochwyć i przystaw mi tutaj chłopca Waltera.

— A to na co? wielmożny rządzco!

Gessler skinął, łucznik spiął konia i wiatrem popędził.

— Wielmożny panie, po co ci dziecięcia mego? co chcesz z niem uczynić? przecież z dziecięciem wojować, dziecięcia pokonać i potępić nie chcesz?

— Zobaczysz — rzekł Gessler, odwracający się do swojej świty; słychać żarty, śmiechy, szyderstwa. Wilhelm nie mógł się pojąć, osłupiał, pot rzęsistą rosą wystąpił na czoło, na całe pobladłe jego oblicze, oczy stanęły mu słupem utkwione w staroście.

Niebawem powrócił łucznik, przystawił dziecię Gesslerowi.

— Macie chłopczynę — rzekł łucznik.

— Dobrześ się sprawił — odrzekł Gessler.

— Dziecko, dziecko moje! — zawołał Wilhelm — chłopczyna już na piersiach ojca.

— Tatku, tatku, kazałeś mię przywieść, mój słodki, złoty tatku! — To mówiąc dziecię klaskało rączętami.

— I matka pozwoliła ci do mnie? — poszepnął Wilhelm?

— Niebyło mamy w domu, nie było, chłopcy byli, siostrunia była. Tatku, tatku! jak mi zazdrościli! jakobyś mnie nad nich kochał.

Wilhelm, westchnąwszy, przytulił dziecię do piersi.

— Gessler pałał radością, okrutną radością pałał... i był cierpliwym, jak szatan czasem bywa, rozrzewnienia ojcowskiego chwilę Gessler czuł dobrze; gdy minęła, bo umiał czuć po diablemu, Gessler zawołał:

— Żwawo, prędzej z dzieckiem mi do drzewa! — wskazał na dąb.

— Co znowu? — ściskając dziecię, zapytał Wilhelm.

— Nic, ot, posłuchaj, rzecz mała, w mojej mocy są łucznicy, którzy ci wyrównają... a może cię prześcigną... kto wie?

Wilhelm nie mogąc się zrazu połapać, o co chodzi— dziwnie, bardzo dziwnie wyglądał.

Za znakiem Gesslera łucznicy porwali dziecię.

— Co, co? — woła Tell — wiązać dziecię, moje dziecię do drzewa, a co to, co? co! dziecię ma być celem? panie starosto! jakto? co to? po ludzkuż to?

— Zobaczymy — rzekł Gessler i rozkaz ponowił.

Oczy Wilhelma zabłysły ogniem, rzekłbyś, że nim zabłysły źrenice lwa. Rzucił oczyma Tell... nie było kędy wynieść się z dziecięciem.

— Tatku, patrz! czego odemnie chcą?

— Dziecię, napróżno ci odpowiadam: chcą, czego chce plemię tygrysie. Mój chłopczyku, synu mój, chcą cię zabić.

— Za co, za co? jam im nic niekrzyw, mój ojcze drogi! ładny, słodki, ojcze mój! nie daj mnie.

Wilhelm zgrzytał zębami, i pono milczał, oczywiście milczał: bo nie był entuzyastą; ale miał *gorące serce* a *rozum zimny*.

— Dosyć mi tego wszystkiego — krzyknął starosta.

Siepaki pochwyciły chłopczynę.

Wilhelm... co czynił Wilhelm?... stał w płomieniach, nie zapomniał upamiętania, był ojcem...

— Wielmożny panie! — zawołał — jeśli cię kto obraził, toć ja... panie! ze mną rób, co chcesz... dziecię oddaj matce... panie! Bóg chce, aby dziecię należało do matki.

— Ojcze! ojcze mój! ciebie zabiją, ciebie! Bóg nie da — rwało się chłopię.

— Panie! — z przyciskiem rzekł Wilhelm — pójdę z żoną, z dziećmi, ze wszystkiem z Helwecyi, panie, pójdę ztąd bez niczego. Panie! daj mi pokój czysty!

— Wolnoć dziecię uratować — rzekł ironicznie Gessler.

— Panie! mów jak?

— Popisz się! — rzekł starosta.

— Panie, kusić Pana Boga nie mogę, nie powinienem!

— No, no, więc łucznicy moi mierzyć i strzelać będą.

— Człowieku bój się Boga, pozwól, niech się namyślę.

— Dajęć pięć minut.

— Zostawcież mnie przynajmniej pięć minut z dziecięciem mojem — zostawcie!

(C. d. n.)

Czarnogórska bohaterka.

W bitwie pod *Białopawłowicz* chorąży czarnogórski został zabity, brat wyrywa sztandar z jego zaskrzepłych rąk i rusza naprzód; wkrótce i on pada także śmiertelnie ugodzony. Matka tych walecznych dzieci, obecna przy walce, zbliżyła się do poległego ostatniego swego syna, i złożywszy pocałunek macierzyński na ustach umierającego, chwyciła za sztandar i rzuciła się z nim na czoło walczących, wołając, że go nie puści aż kiedy go będzie mogła oddać swoim wnukom.

Niepotrzebna emancypacya.

W Neapolu odbył się niedawno pojedynek pomiędzy dwiema siostrami Maryą i Muncyą Granata. Obie rywalki, gdyż zazdrość była powodem waśni, wybrały jako właściwą broń, noże. Jedna z sióstr poległa na placu, druga żyje lecz otrzymała 18 ran.

Kawa.

Amerykanie utrzymują, że w pokojach, gdzie chorzy leżą, powietrze się bardzo odświeża, skoro się na żarzące węgle nasypie upalonej miałkiej kawy, ile jej wejdzie na koniec noża. Także kawa ma także służyć do konserwowania zwierzyny i innych mięsiw nią posypanych.

Stowarzyszenie ochrony zwierząt ma się zawiązać w Warszawie i rządzić się zasadami dra Pernera.

Książę Napoleon poruczył panu Violet Leduc wygotowanie projektu na **pomnik** dla **Napoleona Igo**, który ma stanąć w Ajaccio.

J. K. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**